

ANIOL STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Zbytńia ciekawość nie popłaca.

Burka wszystko nęci, kusi,
W każdy kącik wejrzeć musi.
Ta się schyla, tam się wspina,
Wszystko zwierzy mały psina.
Dnia pewnego spostrzegł rano
Kobiałeczkę tuż pod ścianą.
Staął, patrzy..., ha! zakryta!
Ale co tam, pies nie pyta —
Szmer doleciał jego ucha,
Więc się kręci, węszy, słucha...
Z ciekawości aż usycha,
Jakie też tam siedzą licha?
Skrobie, wierci, aż po chwili,
Wiekó nieco się uchyli.
I nasz burek, zuch nielada,
Do kobiałki mordkę wkłada.

Lecz niestety,
Gwałtu rety!

Ktoś mu porwał nos jak w kleszcze,
I coś w oczy kłuje jeszcze.
Burek zawył — od koszyka
Ile tylko sił umyka,
A u pyska uczepiony
Wisi wielki rak zielony...
Darmo burek wyje, szczeka,
To podskoczy, to ucieka.
Darmo bije się i tarza —
Rak zawzięty ani zważa,
Ale coraz mocniej jeszcze
Wpija w ciało ostre kleszcze.
Aż dopiero coś przed nocą
Pan to spostrzegł i z pomocą
Bursiowi wnet pospieszył, —
Psina bardzo się ucieszył,
Choć mu potem od ściskania
Cały nosek spachł, jak bania.



Próba.

Władca Arabii kalif Harun-al-Raszyd pewnego razu rzekł do swego wiernego przyjaciela, Diafara:

— Słuchaj, Diafarze, gdyby ci pozostał tylko jeden dzień życia, jakbyś go przepędził?

Diafar spojrział zrazu na Haruna z pewną obawą, gdyż jego przyjaciel, kalif, miewał niekiedy okrutne wybryki; poczem odparł, skłoniwszy się nisko:

— W dniu tym pisałbym pochwały o tobie, wielki władco!

— Wiesz dobrze, rzekł Harun, że zanadto cenię przyjaźń twoją, abym cię chciał wystawić na próbę. Ale przyprowadź mi tu trzech ludzi: kupca, muzyka i rolnika, pierwszych, których spotkasz na drodze. Chcę ich wybadać.

Kalif nie czekał długo, wkrótce bowiem wrócili Diafar, prowadząc trzech ludzi.

— Oto są, rzekł, wskazując na nich ręką: kupiec Juzuf, muzyk Said, rolnik Hasan. Spotkałem ich na ulicy.

— Czy to prawda, spytał kalif surowo, że ci ludzie ośmielili się źle mówić o mnie?

— Tak, odrzekł Diafar. Pierwszy mówił że nakładasz za duże podatki; drugi, że mało dajesz świąt; trzeci, że jesteś niesprawiedliwy.

Trzej ludzie chcieli temu zaprzeczyć. Diafar powstrzymał ich wzrokiem.

— Jeżeli tego nie mówili, to z pewnością myśleli.

— Dobrze, rzekł Harun, niech im zetną głowy!

— Łaski, łaski! wołali nieszczęśliwi, padając na kolana.

— Mogę wam darować dzień jeden, rzekł kalif. Idźcie jesteście wolni do wieczora. O zachodzie słońca zetną wam głowy.

Straż wypuściła trzech ludzi na ulicę, a Diafar wybuchł śmiechem.

— Doprawdy, tym sposobem najlepiej można ich wybadać.

— Jeżeli chcesz się dowiedzieć, co ludzie myślą, odrzekł z powagą kalif, nie słuchaj co mówią, ale patrz, co robią.

II.

Mijały godziny.

— Ciekawym, co też oni robią w ostatnim dniu swego życia? sam się zapytał kalif.

Nareszcie nie mogąc się oprzeć ciekawości, wyszedł z pałacu w towarzystwie wiernego Diafara i kilku niewolników, dobrze uzbrojonych.

Najpierw poszedł do domu kupca. Dom był zamknięty. Zdawało się, że nie ma w nim żywej duszy.

— Hola! zawołał kalif, popychając drzwi nogą, Juzufie, gdzie jesteś?

Odpowiedział mu na to jęk przytłumiony w głębi izby zobaczono Juzufa na ziemi, skulonego, z głową pochyloną.

— Cóż ty tam robisz? spytał Diafar.

— Czekam, dopóki mi głowy nie zetną.

— Jakto? toś ty tak dzień przepędził? Pomyśl, że to ostatni w twoim życiu... No, dalej rób cokolwiek, pracuj, baw się z obliczaniem swoich pieniędzy, albo próbuj się czem rozerwać.

— Po co? rzekł Juzuf, wzdychając. Cokolwiekbym robił, nie uchroni mnie to od śmierci. Wszystko mi zobojętniało: zostaw mnie w pokoju.

— Biedny człowiek! odezwał się Diafar wzruszony. Czas pewno mu się okropnie dłuży. Czyby nie lepiej było skończyć zaraz.

— Jak chcesz, odrzekł niedbale Harun.

Ale kupiec, posłyszawszy głos kalifa, zrzucił płaszcz i padł mu do nóg błagając, aby mu jeszcze godzinę życia podarował.

— Na co odparł Harun.

A po chwili dodał:

— No, zresztą, jeżeli to mu taką sprawia przyjemność, możemy mu pozwolić żyć. Juzufie, wstań i ciesz się! Daruję ci życie.

Kalif z orszakiem oddalił się, nie słuchając podziękowania kupca i udał się do muzyka, Saida. Z wnętrza mieszkania dochodził głos instrumentów, słychać było śpiew, snąć huczna odbywała się zabawa. Podeszli bliżej i ze zdziwieniem przez na pół otwarte drzwi zobaczyli muzyka, rozciągniętego na jedwabnych poduszkach, przed nim zaś na małym stoliku stały owoce i słodycze.

Grono przyjaciół zabawiało się wesoło.

— Powinszować! zawołał wezyr. Ten umie przynajmniej użyć ostatniego dnia życia. Ponieważ za chwilę zginie, stara się ani jednej chwili nie stracić na próżno. I my się spieszymy!

I Harun, postąpiwszy na próg, klasnął trzy razy w dłoń.

Instrumenta ucichły. Said zbliadł.

— Już? szepnął, drżąc na całym ciecie.

— Patrz! zawołał Harun. Cóż zostało z tego dnia pięknego? Dym z kadzidel, ulatujący w powietrze. Nie mógłże ten człowiek lepiej go przepędzić!

— Albo ja wiem, odparł Diafar. W każdym razie żał mi tego lekkomyślnego... Możeby go zostawić przy życiu?

— Niech i tak będzie, rzekł kalif. Darujemy mu życie. Ale musimy jeszcze zobaczyć, co robi rolnik.

Wyszli za miasto. Słońce było już nisko. Kalif był zamyślony.

Diafar wyciągnął rękę w kierunku małej chatki.

— Tam zapewne go znajdziemy, rzekł do kalifa. Ale nie, widzę go na polu.

Istotnie Hasan zajęty był robotą. Ciągnął ciężką bronę, szedł zwolna; na twarzy jego znać

było jego wielkie znuzenie. Spostrzegłszy kalifa i jego orszak, zatrzymał się i dłonią otarł pot z czoła.

— No, mój kochany, rzekł do niego Diafar, słońce już niedługo zajdzie, chwila ostatnia się zbliża...

— Allah jest wielki! odparł rolnik. Jestem gotów na wasze rozkazy.

— Cóżś robił przez dzień dzisiejszy?

— Przez cały ranek siałem, a teraz, jak widzicie, bronuję.

— Wiedziałeś jednak, że to jest twój dzień ostatni!

— Wiedziałem i dla tego nie traciłem czasu.

— Po cóż było siał, skoro chleba jeść nie będziesz?

— Moja żona i dzieci będą go jadły, odparł rolnik.

— Masz słuszość, Hasanie, rzekł kalif. Wszystko jedno, czy czeka życie długie lub krótkie! Kto szczerze pracuje, ten najlepiej używa. Zaczny człowieku, dodał, kładąc mu do ręki ciężką sakiewkę, — oto masz na zakupienie ziemi, gdyż pole twoje jest doprawdy za małe. Daruję ci życie i niech ono z łaski Allacha jak najdłużej będzie!

Harun odszedł zadowolony, rozmyślając nad próbą, na jaką wystawił trzech swoich poddanych.

A. Salicka.



O dowcipnym szewczyku.

Stara bajka.

Za górami, za lasami, przed dawnymi laty był książę bardzo potężny. Miał on zamki i bogactwa niesłychane, miał dworzan i sług bez liku, a zamku jego strzegła straż z pikami, halabardami, z szablickami na trzy łokcie.

Książę ten strasznie był chciwy — wszystkiego mu było za mało, a jeśli mu się coś spodobало, wnet posyłał swoich wojaków i zabierał gwałtem bez pardonu. Ludzie w całej okolicy bali się go jak diabła.

W tej samej wsi na komornem siedziała uboga staruszka z wnukiem jedynakiem, chłopakiem pod wąsem. Zwał się on Jąsko i terminował u szewca.

Temu chłopcu bardzo się spodobala córka jednego młynarza; duchem chciał się z nią żenić. Poszedł więc do młynarza i powiada:

— Dajcie mi waszą córkę za żonę, strasznie mi się spodobala, na gwałt chcę się żenić.

A młynarz go ofuknął:

— Oberwańcze, żebraku, kopytniku jakiś, jak śmiesz na moją córkę czy podnosić! Idź precz, mnie nawet nie pasuje z tobą o takich rzeczach gadać.

Co było robić? Głową muru nie przebije. Splunął sobie chłopaczysko i poszedł, drapiąc się w czuprynę i rozważając, coby na tę biedę poradzić.

* * *

Temu młynarzowi osobliwie wiódł się dobytek. Na podziw pięknego dochował się ogiera; koń to był jak malowanie, a ognisty, a rączy, jak wichur.

Dowiedział się o tem książę i wnet sługę posłał do owego młynarza, żeby mu tego ogiera sprzedał.

Młynarz nie chce ani słuchać.

— Nie sprzedam — powiada — za żadne pieniądze.

— Ha, kiedy nie sprzedasz — mówi książę — to ja sobie i tak poradzę.

Przyszedł nocą ze swoimi żołdakami, parobków młynarskich kazał powiązać, młynarza także, skórę im wygarbował, ogiera zabrał, a gdy zobaczył w oborze parę pięknych wołów, to i te woły kazał zabrać.

Odjeżdżając, książę pokpiwał jeszcze z młynarza:

— A widzisz, durniu, kto silniejszy? A co? Dopóki mi tego konia i tych wołów nie odbierzesz, dopóty one będą moje.

I śmiał się, aż huczało.

Co było robić? Głową muru nie przebije. Jużci książę silniejszy. Milczał młynarczysko, jeno splunął sobie i w czuprynę się drapał, a rozważał, coby tu na tę biedę poradzić?

* * *

Jak zaczął młynarz myśleć, to taką rzecz wymyślił: ogłosił, że kto odbierze księciu jego woły, za tego wyda córkę i cały majątek na niego przepisze.

Znalazło się zaraz kilku junaków, którzy napadli na sługi księcia i próbowali woły odebrać, lecz nic nie wskórali, jeno rany i kalectwa.

Aż tu Jasio szewczyk powiada do babki:

— Pójdę ja babuniu księciu woły odbierać, bo mi się okrutnie spodobalo być zięciem młynarza.

A babka mu na to:

— Oj, głupi! z motyką idzie na słońce! A gdzie masz szablę, pikę i konia?

— Szydło — moja szabla, młotek — pika, a zydel (stolek szewski) — konik mój wierny —

odpowiedział szewczyk. Wziął kopyto i począł szyc trzewik.

I zrobił Jasiak trzewik zgrabny, mocny na urząd i poszedł z nim o świcie na drogę, co szła koło książęcego lasu. Położył trzewik na środku drogi, a sam schował się w gęstwinie. Czekał niedługo, aż na drodze ukazał się parobek księcia z pługiem, zaprzężonym w młynarskie woły.

Zobaczył ów człowiek, że coś porządnego leży na drodze, zatrzymał się, wziął trzewik, obejrzał dokładnie na wszystkie strony i powiada:

— Oj szkoda, szkoda, że drugiego takiego nie ma, przydałby się dla mojej baby jak raz. Ale nic mi po jednym. — Rzucił trzewik i popędził woły dalej.

Jak tylko zniknął na zakręcie, Jasiak wyskoczył z lasu, złapał trzewik i pobiegł z nim przez las, wyprzedził dobrego kawał owego sługę książęcego, postawił trzewik na środku, a sam się skrył.

Nadjechał chłop z pługiem i zaraz trzewik zobaczył.

— O, dla Boga — woła — co ja widzę, wszakże to drugi taki samieuteńki trzewik. Oj, głupiec ze mnie, głupiec, że tamtego na drodze zostawił. Trza co żywo zawrócić, bo kto inny podniesie.

Przywiązał woły do drzewa, a sam poszedł szukać trzewika. Tymczasem Jasiak woły odwiązał i nognął przez las do młynarza.

Hej! panie młynarzu wrota otwierajcie,
Te swoje woliki w podwórko wpuszczajcie!

W podwórko wpuszczajcie,
Znaleźne dawajcie,

Bo mi się należy po sprawiedliwości

Dajcież mi Kasienkę, zapraszajcie gości!

— Ho, ho, ho! nie tak zaraz — odpowiedział młynarz. — Pierwszy raz to nie sztuka. Jak mi jeszcze konika mojego odbierzesz, to wtedy oddam Kasie.

Nie w smak to poszło Jasiowi, ale nie ma co robić, trza się jeszcze raz postarać!

Ten książę, co to zabrał młynarzowi konia i wołu, miał taki zwyczaj, że każe osiodłać konia i jedzie sobie na spacer, a rozmawia o różnych rzeczach. A że to koń młynarski bardzo mu się udał, więc wciąż na nim jeździł.

Wywiedział się o tem Jaśko szewczyk, wybrał się znowu na ową książęcą pod lasem drogę, a wziął z sobą tym razem dość mocny postronek. Wyszedł na drogę, przyłożył ucho do ziemi i słucha, czy książę nie nadjeżdża. Skoro tylko posłyszał tętent kopyt, zarzucił sznur na gałąź, wziął sobie pod pachy, zawiesił się na nim, a drugi sznurek założył na szyję, wywiesił język, wybałuszył ślepie i udaje wisielca.

Nadjeżdża książę, a jako pogrążony w ważnem rozmyślaniu, nic do koła nie widzi; ale za to koń młynarski zaraz zobaczył owo widowisko; zestrząsł się okrutnie, zarżał, skoczył w bok,

putem stanął dęba, aż dumający książę zleciał na łeb, na szyję; szczęściem nie bardzo się potłukł, jeno mu piękny kapelusz z głowy zleciał i w niektórych miejscach ubranie popękało szpetnie. A że ów książę był to chłop w sobie podobny, a w ręku strasznie mocny, przytrzymał brykającą szkapę i ujawszy cugle przy samym pysku, poprowadził konia w bezpieczniejsze miejsce, aby go spokojnie dosiąść.

Jaśko nie czekał długo, zeskokczył na ziemię, zabrał postronek i chyłkiem co tchu biegnie. Skoro już dobrze wyprzedził księcia, zawiesił się znowu i udaje wisielca.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał książę, ujrawszy drugiego wisielca. A koń, jak nie strzygnie uszami, jak nie da szczupaka, tak biedne panisko ledwie się na nogach utrzymało.

Jeszcze Jaśko słyszał, jak książę wołał na konia: „o stój! pr! prr!“ a już zeskokczył z drzewa, wybiegł naprzód i znowu się obwiesił.

— W Imię Ojca i Syna! — wołał książę — co ja widzę! wszak ci to trzeci wisielce! A wszyscy trzej wydają mi się kubek w kubek do siebie podobni. Czy to czasem nie djabelska sztuka? Trzebaby zobaczyć, czy tamci dwaj wiszą jeszcze. Ale szkapę zostawię, bo oszaleje ze strachu.

To mówiąc, książę odprowadził dalej konia, uwiązał do drzewa, a sam poszedł z powrotem, szukać wisielców.

Tego tylko Jaśko czekał. Śmignął na konia i na przełaj przez las popędził do młynarza.

Hej! panie młynarzu, wrota otwierajcie,
Wrota otwierajcie, konika wpuszczajcie!

W podwórko wpuszczajcie

Znaleźne dawajcie,

Bo mi się należy po sprawiedliwości,

Dajcież mi Kasienkę, zapraszajcie gości!

Ciesz się młynarz koniem, ale kręci głową i powiada.

— Udało ci się, bo udało, nie ma co gadać; ale wiesz, że do trzech razy sztuka? pierwsze — trafunek — drugie przypadek — a trzecie grunt! Zdejmij-no, bratku, z księcia koszulę i jeszcze ciepłą tu przynieś — wtedy będziesz zuch, wtedy ci Kasie dam.

Jaśko drapie się w głowę i powiada:

— Ej, kiedy może znowu jaką przeszkodę znajdziesz.

— Masz moje słowo młynarskie.

— Dobrze. Tylko nie zapominajcie.

A Kasia wyrzała przez drzwi i rzecze:

— Nie bój się, Jasiu, już ja tatusiowi przypomnę.

(Dokończenie nastąpi).

